

Błysk pamięci żywszej rozjaśnił nagle jego myśli; w oczach przemknął niespokojny wyraz.

— Ale... ale... ten Kermor... markiz... on nie! Delrue to co innego... Kermor niech nie nabywa... nie chcę... słyszysz... musiałbym ja ponieść stratę... rozumiesz?

Sydonia zadrżała. Więc teraz jeszcze oni będą zmuszeni materialnie odpowiadać za szaloną spekulację markiza, a ona zamiast powstrzymać to nowe nieszczęście, dopomagała mu bezwiednie. Nie okazała jednak wzruszenia swojego ojcu, pozostała jeszcze chwilę przy nim, zabawiając go rozmową, poczem odeszła, pozostawiając go pod opieką dozorczyń.

Pomimo wszystko, w duszy bankierówny tkwiła jeszcze nadzieja odzyskania swojego narzeczonego. W pierwszej chwili, pod wrażeniem telegramu otrzymanego tak niespodziewanie i ciężkiej choroby ojca, zdawało się, że to już koniec wszystkiego, koniec jej ambitnych marzeń i życia jej całego. Ale teraz po otrzymaniu kilku listów od Henryka, wysłanych z drogi i widocznego, choć jeszcze bardzo słabego polepszenia w stanie zdrowia barona, nowa energia wstąpiła w nią i nadzieja odzyskania tego, co już uważała za stracone.

Pobiegła natychmiast do markizy de Kermor, w której przy powitaniu, ku wielkiej swojej radości, wyczuła gorętszy odcień serdeczności i zainteresowania, okazywanego jej w pewnej mierze od chwili katastrofy, która spadła na nią.

— Dzień dobry, kochanko! — przywitała ją pani de Kermor, uśmiechając się do niej życzliwie. — Obecność twoja wskazuje mi, że ojciec twój czuje się lepiej, nieprawdaż? Inaczej nie byłabyś mogła przybieść do mnie.

— Ojciec rzeczywiście jest zdrowszy — odpowiedziała pospiesznie Sydonia — a nawet był w możności mówienia ze mną o sprawach giełdowych, które dotyczą dom pani dosyć żywo.

— Nas? — zawołała ze zdziwieniem markiza.

— Oh! To jest rzecz bardzo prosta. Niech pani zechce mi wybaczyć moją niedyskrecję, ale intencje moje są jak najlepsze. Pan markiz obecnie zaangażował się w akcjach kopalni złota...

Markiza z niepokojem rosnącym patrzyła na bankierównę, przeczując nowe jakieś nieszczęście.

— Ależ moje dziecko — wyrzekła z trudem — zdaje mi się, że to nie moja rzecz, w sprawy markiza de Kermor nie mieszałam się nigdy...

— Ale teraz będzie pani zmuszona się niemi zająć! Ojciec mi powiedział, że mąż pani gotuje sobie ruinę niezawodną. Upadek kopalni złota jest tylko kwestią bardzo krótkiego czasu, może nawet godzin kilku!

— Co mówisz, moje dziecko? Czy jesteś pewna tego, co mówisz?

— Oh! tak! aż za bardzo! pani musi natychmiast ostrzedz markiza.

— Uczynię to, moje dziecko i wdzięczna ci jestem bardzo za życzliwość, jaką mi okazujesz.

— Czyż pani nie jest moją matką od pewnego czasu, droga markizo? — odparła z przymileniem Sydonia.

Pani de Kermor, ujęta wdziękiem baronówny i jej słowami, serdecznie ją ucałowała i odprowadziła aż do furtki ogrodu, oświadczając jej wdzięczność swoją i gorące przywiązanie.

Jednakże cień smutku i niezadowolenia osiadł na jej czole, kiedy znalazła się z powrotem w swoim buduarze. Delikatną i subtelną naturą markizy zmroziła swoboda, z jaką bankierówna przystąpiła do spraw czysto materialnej natury. Raz jeszcze przekonywała się niestety, że nie była ona odpowiednią i wymarzoną narzeczoną dla jej syna i zaczęła coraz lepiej rozumieć powody, które go popchnęły do ucieczki z Paryża.

— Czy będzie ona kiedykolwiek hrabiną de Kermor? — myślała markiza z niepokojem.

Obowiązkiem jej jednak było uprzedzić męża o niepomyślnym obrocie jego eksperymentów finansowych i postanowiła jaknajspieszniej z nim się rozmówić.

Właśnie markiz w bardzo wesołym usposobieniu, pewny siebie i uśmiechnięty powracał z miasta i jak zwykle przyszedł przywitać żonę, której nie widział od śniadania.

— Moją drogą — zaczęła markiza zaraz na wstępie — zdziwisz się zapewne, ale czuję się w obowiązku pomówienia z tobą o interesach twoich giełdowych.

— Powracam właśnie z giełdy — oznajmił markiz z dumą i zadowoleniem. — Kochana Heleno — dodał, uśmiechając się przebiegle — domyślam się, że uprzedzono cię, iż bawię się w aferzystę i pewny jestem, że czeka mnie z tego powodu okropna scena z twojej strony.

— Mylisz się, chciałam ci tylko dać dobrą radę.

— Pójdę za nią ze ślepym posłuszeństwem, nie wątpisz chyba o tem, moja kochana.

— Zaraz się przekonamy o tem. Podobno robisz spekulacje na akcjach kopalnianych — czy tak?

— Mój Boże, przyznaję, że cokolwiek, właściwie...

— A więc, jest to najlepsza pora akcji tych się pozbyć.

— Czy mogę ci się zapytać, kto cię tak dobrze poinformował? Wybacz mi moją ciekawość, ale w sprawach pieniężnych odkłada się na bok wszelkie konwenanse — i przyznam ci się, że dlatego są mi one bardzo wstrętne.

— Panna de Bressien była u mnie.

— Ona? A więc widzę z tego, że baron musi być zdrowszy i odzyskał mowę?

— Tak. Mówi już o pieniądzach, to wielki postęp. I mówił z nią w naszym własnym interesie.

— Czy być może?

— Zapewniam cię, że rzecz jest poważna.

Markiz de Kermor zaśmiał się serdecznie.

— Moja kochana Heleno — rzekł coraz bardziej ubawiony — gdyby mnie był ktoś zapytał, jakie będą pierwsze słowa barona de Bressien, byłbym odpowiedział: „Baron powtarza bezustannie”: „Nie trzeba, żeby Kermor nabywał akcje, a jeżeli je nabył, niech je czempredzej odsprzeda!” Tych słów byłem pewny!

— Dlaczego?

— Bo to są ostatnie jego słowa, z jakimi się do mnie zwrócił w ów wieczór, w którym tak niebezpiecznie zaniemógł... Teraz odzyskał mowę i znowu je powtarza, jako najsympatyczniejszy mu temat konwersacji. Oh! do diabła! Niechże tę drogocenną radę zachowa lepiej dla siebie!

— Widzisz więc, mój kochany, że pomimo twoich zapewnień, lekceważysz moją przestrożę.

— Nie mogę przed tobą ukryć prawdy, że zachowałem dla ciebie niespodziankę: chcę wszystko popłacić i odkupić to, co utraciłem i powiedzieć ci przytem: „Moja droga, oto bagatelka, składająca się z dziesięciu lub dwudziestu milionów, z którą nie wiem, co mam uczynić, ponieważ spłaciłem wszystkie długie swoje, co do centa, nawet te, zaciągnięte niegdyś u barona de Bressien”.

— Czy to możliwe? Czyżbyś mógł tyle zarobić na giełdzie?

— Jestem w trakcie zarobienia o wiele więcej. Baron marzył o jakiejś nadzwyczajnej spekulacji finansowej, któraby podwoiła jego majątek, a ja ją urzeczywistniłem na własną korzyść.

— I ty teraz stałeś się aferzystą, mój drogi? Jestem tem ogromnie zdziwiona.

— Uspokój się, Heleno! Będzie to pierwsza i ostatnia sprawa moja tego rodzaju.

— Nie wiem, co na to mam odpowiedzieć. Zdaje mi się, że śnię.

— W każdym razie sen to piękny, przyznasz sama, a jeżeli Henrykowi również szczęśliwie się powiedzie z tamtej strony oceanu, Kermorowie staną się z powrotem milionerami i zadziwią świat cały!

W tej chwili ktoś dyskretnie zapukał do drzwi i wszedł służący, niosąc na tacy depeszę.

— Co tam? — zapytał markiz — depesza? Pozwolisz moja droga, że otworzę.

Rozerwał pieczęć i czytał zdumiony, nie wierząc własnym oczom:

„Hrabia de Kermor śmiertelnie chory, przywieziony do Brazzaville. Proszę przybyć natychmiast. Allan”.

Markiz ruchem bezwiednym przesunął ręką po czole, lecz przewyciężając wzruszenie, odpowiedział swobodnie na pytające spojrzenie żony, chowając depeszę do kieszeni:

— To nic ważnego. Zaproszenie na polowanie. Pójdę wysłać stosowną odpowiedź.

Rada.

Wyszedłszy z pałacyku, markiz de Kermor telegrafował bezwzględnie w następujący sposób:

„Proszę czynić wszystko możliwe dla ratowania syna, wyjeżdżam dziś jeszcze”.

Markiz mógł tego samego dnia jeszcze wsiąść na pociąg pospieszny, ale nie wiedział, jak wytłumaczyć żonie nagły swój wyjazd. Powiedzieć jej prawdę, byłoby ją zabić, zważywszy na delikatność jej zdrowia, podkopanego ustawiczną troską o syna. Najlepiej uczyni, jeżeli wyjedzie, nie uprzedziwszy markizy, która bądź co bądź przyzwyczajoną była do nieregularnego trybu jego życia i pomyśli najwyżej, że powrócił do dawnych swoich przyzwyczajzeń i towarzysztwa, w którym lubił się często zabawić. Wiedział, że powodowana delikatnością, markiza nie zapyta o cel tej podróży. Mógł jej je-

dynie powiedzieć, że dawni przyjaciele wzywają go do Nizy, a on będzie mógł skorzystać z tej sposobności i wciągnie ich może, jako współników, do nowych swoich planów giełdowych.

Nie namyślając się więc dłużej, markiz przed wieczorem opuścił pałac i wyruszył w drogę, dręczony niecierpliwością i niepokojem, który starał się nawet przed samym sobą ukryć, nie chcąc się przyznać, że los Henryka gorąco go obchodzi.

W Sas-Dalmas w biurze marynarskim markiz de Kermor, ku wielkiej swojej radości, zastał drugą depeszę, zawierającą pocieszającą wiadomość:

„Niema jeszcze nic straconego. Oczekujemy pana”.

Czekała go jeszcze kilkogodzinna przeprawa: Dakaz, Saint-Souis. Nareszcie zmęczony i wyczerpany dotarł do miejsca przeznaczenia i niemile został dotknięty spostrzeżeniem, iż klimat w tej miejscowości był nadzwyczajnie nieprzyjemny, wilgotny i mglisty, pełen niezdrowych, gorączkowych wyziewów.

— Szczególne miejsce wybrane dla rekonwalescencji — zauważył markiz de Kermor. — Biedny mój Henryk!

Dwóch przyjaciół młodego podróżnika oczekiwało na przybycie pana de Kermor. Przedstawiwszy się markizowi, uspokoił go przedewszystkiem, że Henryka zastał jeszcze przy życiu.

— Czy niema żadnej nadziei? — zapytał markiz.

Odpowiedzieli, że lekarz, któremu oddano go w opiekę, nie może za nic ręczyć. Henryk był wyczerpany i wychudły, gorączka nie zmniejszała się do tej chwili. Leżał w Brazzaville w najlepszym domu kolonialnym, jednakże nie posiadającym żadnych wygod, potrzebnych choremu. Great Allan nie opuszczał jego pokoju. Co zaś do celu wyprawy, był już prawie osiągnięty. Kwestya założenia linii kolejowej została pomyślnie załatwiona, rozkazy w tym kierunku wydane i materiały potrzebny już wysłany.

Markiz natychmiast udał się do Brazzaville, tymczasowej stolicy kolonialnej, składającej się z szeregu domów najprymitywniejszej struktury, namiotów i baraków dla służby.

Na progu domu, w którym leżał Henryk, przywitał markiza Allan ze swobodą światowca. Uściśnął silnie jego rękę i poważnie się skłonił, zapraszając do wejścia.

— Zastanie go pan bardzo zmienionym — rzekł smutnie.

— Byłem na to przygotowany! — odparł markiz, wchodząc do pokoju.

Pomimo to jednak na widok syna wstrząsnęło nim silne wrażenie. Henryk leżał na obozowem, prostym łóżku, przykryty wielkim kawałkiem gazy, chroniącym go przed moskitami. Twarz jego, na której wyraźnie zaznaczyły się kości policzkowe, blada była jak z wosku, oczy silnie podkrążone i wpadnięte, przysłonięte miał powiekami.

— Przed chwilą zasnął — pospieszył uspokoić markiza Allan, widząc, że ten stanął jak zdętwiały, nie śmiejąc podejść bliżej.

— Więc to jest zółta febra? — zapytał pan de Kermor, siadając na łóżku chorego.

— Tak! Lekarz to stwierdził. Ale oprócz tego jest jeszcze co innego.

Markiz pytaniem spojrzeniem objął mówiącego.

— Cóż takiego?

— Zaraz panu wyjaśnię.

Allan odsunął gazę ochraniającą Henryka i delikatnie, nie chcąc go zbudzić, wsunął rękę pod poduszkę.

Oto — rzekł — jest jeszcze to, o czym pan markiz może nie wie, a co jest główną przyczyną jego choroby.

Wręczył panu de Kermor niewielką fotografię, mówiąc ze smutnym uśmiechem:

— Rysy są prawie zatarte... dosyć łez gorących wylał nad nimi, kiedy sądził, że nikt nie podpatruje jego tajemnicy. A nazwisko tej osoby znam jak swoje własne. Ileż razy w gorączkowych snach wybiegło mu ono z ust! Jedną tylko, tą Janiną, może zbawienny wpływ wywrzeć na nim.

Pan de Kermor spojrzął na fotografię i opuścił głowę na piersi przygnębiony i smutny.

— Wszystko stracone — szepnął — z tej strony na nic liczyć nie można.

Allan powstał nagle i pociągnął markiza do przyległego pokoju.

— Panie de Kermor — rzekł ze zwykłą sobie szorstkością, pokrywającą głębokie wzruszenie — jestem zmuszony mieszać się pomimo mojej woli w nie swoje rzeczy. Ale syn pański stał się moim przyjacielem i cenię go ponad wszystko. Nie pozwolę, aby konał w moich oczach...

(Ciąg dalszy nastąpi.)